

Tekst i zdjęcia: *Szymon Baron*

Tam szum Prutu, Czeremoszu...

Wycieczkę w Czarnohorę, najwyższe pasmo Ukrainy planowałem już od dłuższego czasu. Kilkakrotnie stawał mi na przeszkodzie brak dogodnego terminu, ostatnio oba majowe weekendy spożytkowałem w inny sposób. W końcu udało mi się pojechać tam podczas sierpniowego urlopu.

Już od dłuższego czasu byłem odpowiednio przygotowany do tego wyjazdu: zaopatrzyłem się w mapy, kupiłem hrywny, posprawałem dogodne połączenia kolejowe i autokarowe. Jed-

nego nie mogłem przewidzieć – dwa tygodnie przed wyjazdem przez interesujące mnie obwody iwano-frankowski i zakarpacki przeszła powódź dokonując kolosalnych szkód. Wstępne szacunki mówiły o 40 tysiącach podtopionych budynków i blisko

34 tysiącach hektarów zatopionych pól uprawnych. Żywiol uszkodził 360 samochodów oraz 561 pieszych mostów. Zniszczeniu uległo ok. 680 km dróg i linii kolejowych. Innymi słowy, wyjazd w Czarnohorę nie rysował się w różowych barwach.

W końcu nadszedł długo oczekiwany dzień wyjazdu.

Z Bielska-Białej wyjechałem późnym wieczorem, 8 sierpnia 2008 r. W Katowicach miałem się spotkać z Januszem Machulikiem i razem pociągiem pośpiesznym mieliśmy udać się do Przemyśla. Tak też się stało, tyle, że z niemal dwugodzinnym opóźnieniem. Do Przemyśla dojechaliśmy rano, busem podjechaliśmy do granicy w Medyce, którą przekroczyliśmy piechotą. Do Lwowa dostaliśmy się marszulką.

Już we Lwowie zdecydowaliśmy o zmianie trasy. Początkowo planowałem rozpocząć wędrowkę w Dżembroni, a zakończyć w Kwasach lub Jasini, które znałem z poprzednich wypadów. Jednak wizja szukania późnym wieczorem transportu z Worochty do Dżembroni, nie mając do tego informacji o szkodach popowodziowych w tym rejonie skłoniła nas do wybrania trasy odwrotnej. Kupiliśmy bilety do Kwasów, wiedząc, że szlak zaczyna się tam nieopodal stacji kolejowej. Wybraliśmy drugą klasę, czyli wagon typu *plackartnyj* i już po kilku godzinach, około 23 byliśmy w Kwasach.

Namiot rozbiliśmy obok charakterystycznej ruiny, będącej niedokończoną turbazą.

Poranek przywitał nas mgłą i potężnymi chmurami. Nie wróżyło to dla nas nic dobrego. Umyliśmy się, zjedliśmy śniadanie, spakowaliśmy plecaki i przy lekkiej mżawce ruszyliśmy na szlak. Pierwszy, dość nieoczekiwany postój na trasie mieliśmy przy budce Straży Parku – za wstęp na teren Karpackiego Parku Narodowego

musieliśmy zapłacić po 10 hrywien od osoby za dobę oraz 8 hrywien za namiot. Po krótkiej dyskusji ze strażnikiem, przedstawivszy mu skróconą o dwa dni wersję planowanej trasy, zaoszczędziliśmy parę hrywien i ruszyliśmy dalej. Deszcz padał coraz mocniej, a jedyny widok, jaki dane nam było zobaczyć tego dnia to pasmo Świdowca na samym początku trasy.

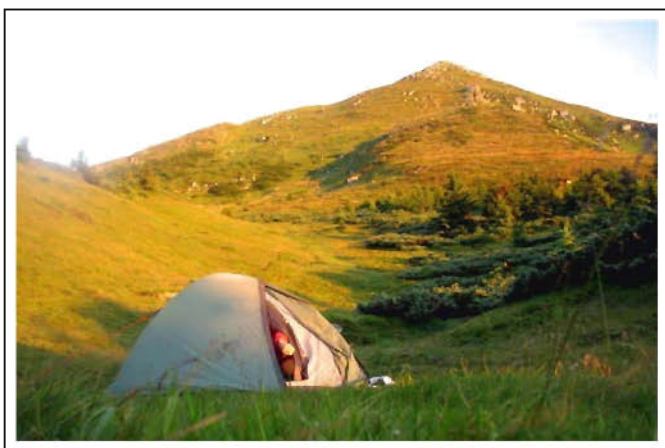
Cały dzień poruszaliśmy się żółtym szlakiem oznaczonym dodatkowo liczbą 15. Tego dnia udało nam się wejść na Pietrosa (2020 m n.p.m.), na którym we mgle mogliśmy zoba-

czyć wygięty przez wiatr, burzę lub wandali krzyż oraz trafiony przez piorun drewniany budynek (prawdopodobnie kapliczkę). Nocleg spędziliśmy u podnóża Pietrosa. Po całym dniu marszu w deszczu nasze ubrania i buty były mocno przemoczone i nie dawały większej nadziei na komfortową wędrowkę w ciągu następnych dni.

Następny poranek przywitał nas piękną pogodą. Po chmurach, które poprzedniego dnia nie opuszczały nieba nawet na moment nie było śladu, słońce prażyło, mimo, że było przed 6 rano. Pietros ukazał nam się w całej okazałości. U podnóża gór mogliśmy podziwiać morze mgieł. Było niesamowicie pięknie. Niestety, buty i ubrania nie przeszły do końca, postanowiliśmy więc nie spieszyć się ze startem. Ułożyliśmy wilgotne rzeczy na kamieniach i zabraliśmy się za śniadanie.

W międzyczasie nasze ubrania wystarczająco przeszły, mogliśmy więc spakować się i ruszyć w dalszą drogę. Tego dnia było nam dane podziwiać przepiękne widoki. Wędrowaliśmy przez lasy, połoniny, by w końcu stanąć u podnóża Howerli – najwyższej góry Ukrainy.

Przez cały dzień dopisywała nam pogoda – jedyny mo-



biwak u podnóża Pietrosa



Howerla widziana spod 38 słupka granicznego polsko-czechosłowackiego



ment, gdy znaleźliśmy się w chmurach miał miejsce, gdy staliśmy na szczycie Howerli (2061 m n.p.m.). Przed Howerlą i za nią pogoda była wręcz wymarzona. Na szczycie w tej chwili znajdują się cztery charakterystyczne punkty: wiekowy już obelisk, ukraiński trizub (trójząb) i flaga państwowa oraz krzyż. Na szczycie spotkaliśmy sporo Ukraińców, którzy podchodzili najpopularniejszym szlakiem z Zaroślaka.

Spod szczytu Howerli w oddali widzimy charakterystyczny budynek obserwatorium na Popie Iwanie – tam zamierzamy dojść następnego dnia. Wędrując dalej żółtym szlakiem (po tej stronie Howerli oznaczonym 14-tką) docieramy w okolice źródeł Prutu i dalej okopów z czasu I wojny światowej.

Wędrujemy wzdłuż dawnej granicy polsko-czechosłowackiej. Przy słupku granicznym nr 38 robimy pamiątkowe zdjęcie Howerli, wyglądającej z tej strony przepięknie.

Tutaj mała dygresja odnośnie szlaków na Ukrainie. Wędrowałem już po Świdowcu i Czarnohorze i wszędzie spotykałem tylko żółte szlaki (nie licząc starych, jeszcze polskich czerwonych znaków). Szlaki te przecinają się na wszystkie możliwe sposoby i jedynym sensownym sposobem na zorientowanie się, w którą iść stronę, o ile nie ma drogowszkazy, jest mapa lub zdrowy rozsądek. Może jeszcze trochę topograficznych zdolności...

Tego dnia doszliśmy nad malowniczo położone Jezioro Niesamowite. Noc spędziliśmy w namiocie obok piętnastu innych, ukraińskich namiotów. Pamiętam, że gdy cztery lata temu wędrowałem po Świdowcu, spotykałem Polaków, Czechów, a nawet Hiszpana – Ukraińców było niewiele. Tutaj, w Czarnohorze nie spotykaliśmy nikogo innego, niż miejscowych turystów.

Kolejnego dnia ruszyliśmy w najdłuższą, jak się okazało, trasę. Planowaliśmy dojść do Popa Iwana, a może nawet dalej. Nieco zbaczając ze szlaku zdobyłem Rebrę (2001 m n.p.m.), trzeci na naszej trasie ukraiński dwutyśięcznik. Janusz czekał na mnie przy szlaku. Kolejny dwutyśięcznik, Gutin Tomnatik (2018 m n.p.m.), położony nieco na bok od szlaku ominęliśmy. Nie weszliśmy również na Brebeneskuła (2037 m n.p.m.), trawersując tę górę zachodnim zboczem.

W końcu około 15, po kilku godzinach wędrowki

dotarliśmy do podnóża Popa Iwana (2022 m n.p.m.). Zostaliśmy plecaki i niczym nie obciążeni weszliśmy na ten, trzeci co do wysokości szczyt Czarnohory. Na szczycie, staraniem rządu II Rzeczypospolitej, zbudowano w latach 1936-1938 Obserwatorium Astronomiczno-Meteorologiczne nazwane później potocznie „Białym Słoniem”. Obecnie jest to ruina, choć w nienajgorszym stanie. Czytałem, że Ukraińcy planują odbudować obserwatorium w tym miejscu. Uważam, że jest to interesująca inicjatywa.



ruiny polskiego obserwatorium na Popie Iwanie

Z Popa Iwana, pomimo wyczerpania długim marszem, postanowiliśmy zejść niżej. Zegarki wskazywały dopiero szesnaście, ruszyliśmy więc w stronę Smotreca (1901 m n.p.m.). Podobno na szczycie tym podczas I wojny światowej znajdowało się główne stanowisko dowodzenia armii austriackiej, do dzisiaj zachowały się okopy oraz naturalny bunkier, wówczas wsparty drewnianymi stemplami.

Ze szczytu Smotreca zeszliśmy do Dżembroni. Na pytanie o autobus dowiedzieliśmy się, że nie jeździe, bo droga jest zerwana i czeka nas 20-kilometrowy spacer do Ilczy. Noc spędziliśmy w chacie u Paraski, która przenocowała nas za 20 hrywien od osoby. Wzięliśmy prysznic, zjedliśmy normalną kolację, by następnego dnia wrócić do cywilizacji.

Rano, po śniadaniu ruszyliśmy w drogę. Droga była w kilkunastu miejscach podmyta przez burzliwy Czeremosz, mosty były pozrywane. Sieć elektryczną naprawiona ledwie kilka dni temu. Marsz w stronę Ilczy



podmyta przez Czeremosz droga niedaleko Dżembroni

dał nam się we znaki – miejscami trzeba było kluczyć w zaroślach na wysokiej skarpie, w innych miejscach należało się wykazać znajomością elementów wspinaczki skalkowej i to z ciężkim plecakiem. Na własne oczy widzieliśmy, że burzliwe wody Czeremoszu i nieod-

ległego Prutu wyrządziły naprawdę ogromne szkody.

Na szczęście udało nam się wrócić do cywilizacji. Z Ilczy do Worochty dojechaliśmy autostopem, dalej dwoma autobusami z przesiadką w Stanisławowie wróciliśmy do Lwowa. Tutaj zrobiliśmy zakupy (hałwa, paprykówki, itp.) i... spóźniliśmy się na ostatnią marszulkę do granicy. Po noclegu na lwowskim dworcu, następnego dnia wróciliśmy do domów.